№ 24. Warszawa, dnia 3 (15) Czerwca 1878 roku.



I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop. 50. Numer pojedynczy kop. 15. Przedpłata dla GALICYI wynosi we LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu złr. 3. na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 c. 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwart. w miejscu złr. 2 c. 75 na prowincyi złr. 3 c. 50.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni LEITGEBERA i S-ki kwart. w miejscu prenumerata wynosi marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Elektoralnej Nr 779 (nowy 41).

Kwestye i Sprawy.

VIII.

O pieniądzach.

(Dalszy ciąg).

Wynalazek pieniędzy sprawił ogromny przewrot w ekonomicznych i społecznych stosunkach ludzi. Zamiast uprzedniej zamiany pojawiła się możność *kupowania* i *sprzedaży*, co bez pieniędzy nie jest możliwem. Ludzie poczęli robić oszczędności, czego również dawniej nie było; ze wzrostem potrzeb wzrósł dobrobyt, pojawiły się wynalazki, rozwinęły się przemysł i sztuki. Musimy to jednak zrobić ważne zastrzeżenie: *pieniądze* były *jedną z przyczyn* może nawet głównych, ale nie *jedyną* przyczyną. Mówiąc więc ściślej, wynalazek pieniędzy *ułatwił* wiele objawów ekonomicznego i społecznego rozwoju, ale ich nie zrodził. Zastrzeżenie to jest przeważnie skierowanem przeciwko uczonym i myślicielom tej szkoły, która nie widzi nic oprócz czynników materyalnych i ekonomicznych, a niewiele troszcząc się o logikę, często i chętnie *jedną* z przyczyn uważają za jedyną przyczynę. Zapaleni i jednostronni ekonomiści twierdzą np. że pieniądze przyłożyły się do wyzwolenia klasy włościańskiej, poddanej: przedtem bowiem przewagę miała własność nieruchoma, a ztąd kto miał ziemię, był panem tych, którzy na niej osiadali; wynalazek zaś pieniędzy osłabił wyłączną przewagę własności nieruchomej nad ruchomą i dał możność ludziom wyzwolić się z zależności od posiadaczy ziemi. Poczęści to prawda, ale pieniądze były tu tylko jedną z przyczyn, a że nie były jedyną, ani nawet skuteczną, dowodzą tego rozmaite nowe rodzaje niewoli, przez wynalazek pieniędzy sprowadzone. Przesadnie więc podobno powiada Turgot, głowa ekonomicznych fizyokratów we Francyi w wieku XVIII, jako bez pieniędzy nie byłoby ani uczonych, ani artystów, ani umysłowego ani moralnego rozwoju: przecie było to wszystko u starożytnych Egipcyan, a także u Greków w epoce homerycznej, choć nie mamy żadnej wzmianki o pieniądzach w owej epoce. Prawdą jest za to, że pieniądze uczyniły możliwym podział pracy i tem wpłynęły na rozwój rękodzieł i przemysłu: dziś szewc może pracować tylko nad wyrobem butów, nie troszcząc się o to, czy za te buty dostanie mięsa od rzeźnika i chleba od piekarza, gdyż dostanie pieniądze, za które może sobie kupić i chleba i mięsa. Nakoniec banki, bilety kredytowe, weksle i inne urządzenia, w dalszym rozwoju z wprowadzenia pieniędzy płynące, ożywczo wpłynęły na handel, przemysł i wzajemne stosunki najodleglejszych narodów.

Z drugiej jednak strony, jak każda broń cywilizacyjna, tak i pieniądze są orężem obosiecznym. Potrzebaż wyliczać wszystkie objawy i skutki chciwości, skąpstwa, tysiączne formy rabunku, kradzieży, oszustwo, szulerstwo i wreszcie sprzedawanie wszystkiego (bez wyjątku) za pieniądze? Wiele z tych występków zrodziło się dopiero po wprowadzeniu pieniędzy; innym pieniądze dodały szybkiego i przerażającego wzrostu. Dla tego to starożytny poeta powiada że „złoto najlepiej było umieszczonem w głębiach ziemi“ (Horacy). Nadużycia banków i teoryi kredytu za dni naszych zwłaszcza są potworne: umyślne bankructwa, złudne przedsiębiorstwa, gra giełdowa, szalbierstwa wekslarskie, ruina wielu rodzin (jak w czasie niedawnych bankructw ogólnych czyli „krachów“ berlińskiego i wiedeńskiego) potęgują jeszcze ten rejestr szkodliwych skutków pieniędzy. Wreszcie nawet co do nierówności stanów, wbrew przytoczonemu powyżej zdaniu niektórych ekonomistów, najbezstronniejsi uczeni wyznają, że nawet w wiekach średnich nie było takiej przepaści pomiędzy posiadaczami ziemi i ludźmi, ziemskiej własności pozbawionymi, pomiędzy panami i poddanymi, jaka jest dzisiaj pomiędzy kapitalistą i ubogim proletaryuszem, któremu nie starczy nietylko na oszczędności, ale nawet na życie, pomiędzy fabrykantem i zupełnie zależnym od niego robotnikiem. Kto ma choć cokolwiek, ten może dorobić się większej fortuny, już to pracą, już to szczęśliwym zbiegiem okoliczności; ale kto nic nie ma, to jest nie zawsze ma żyć z czego, ten na zawsze pozostanie nędzarzem. Ztąd nieufność, nienawiść i walka pomiędzy biednymi i bogatymi, stara jak świat, czyli raczej stara, jak pieniądze — ztąd przewroty i katastrofy socyalne, ztąd widmo komunizmu i socyalizmu, trapiące ludzkość od wielu już wieków, bo od czasów spartańskiego Lykurga i filozofa Platona.

Nie podejmując się obszernego na tem miejscu rozbioru wszystkich dobroczynnych i zgubnych wpływów pieniędzy, poprzestaniemy na powyższych uwagach ogólnych, a teraz rozpatrzmy niektóre zasadnicze, a bardzo upowszechnione błędne wyobrażenia o pieniądzach pod trzema mianowicie względami: 1) co do kwestyi, czy pieniądze są rzeczą najdroższą; 2) co do różnicy pieniędzy od kapitału i 3) co do zmian wartości pieniędzy i połączonej z niemi drożyzny potrzeb do życia.

Tak po pierwsze, pieniądze nie są bynajmniej rzeczą najdroższą ani bezwzględnie, ani nawet w porządku zmysłowym czyli materyalnym. Pierwszego dowodzić byłoby, zdaje się, rzeczą zbyteczną, skoro po wszystkie czasy ludzie przekładali nad pieniądze tyle rzeczy wyższych, moralnych, skoro dziś jeszcze podziwiamy przynajmniej takich ludzi, jeżeli niezawsze możemy ich naśladować. W porządku zaś rzeczy zmysłowym nie mówimy już o tem, że wiele jest rzeczy cenniejszych nad złoto i srebro np. przedmioty sztuki i zbytku, drogie kamienie i t. p. gdyż

tu tylko pozornie lub na wagę wartość pieniędzy wydaje się niższą, skoro zawsze cenę wymienionych przedmiotów obliczamy na pieniądze — ale w ogóle pieniądze są tylko towarem, jak wszelki inny, którego wartość polega głównie na umowie i porozumieniu, a użyteczność bywa często względną, niekiedy niższą od pożytku innych przedmiotów i towarów. Niezależnie od wartości umówionej czyli zamiennej, pieniądze złote i srebrne mają wartość wewnętrzną z tego tylko względu, że zawarty w nich kruszec może być użytym na wyrób naczyń, ozdób i innych przedmiotów powszechnego użytku. Ztąd, jeśli pieniądze będą z takiego kruszcu, który, jak np. platyna, choć drogi z powodu swojej rzadkości, lecz do wyrobu przedmiotów nie jest używanym, to wartość pieniędzy platynowych pozostanie czysto zamienną, umówioną. Dla tego też, jak się zdaje, wkrótce zaniechano bicia dukatów platynowych, które istniały w Rossyi przed 1840 rokiem. Podobnież, jeśli pieniądze nie będą zawierały dostatecznej ilości kruszcu dostatecznej próby to jest jeśli w nich złoto lub srebro nie będzie dość czyste lub będzie go zbyt mało, wtedy mniejszą jeszcze mieć będą wartość w porównaniu ze złotemi i srebrnemi wyrobami, które i bez tego nawet zawsze, nie licząc nawet roboty, są droższe od złotych i srebrnych pieniędzy. Moneta drobna, zdawkowa (miedź, bilon, nikiel i t. d.), nie mająca zwykle odpowiedniej wartości, bez porównania mniej znaczy od odpowiedniej ilości kruszcu z którego została wybitą, gdyż przerobienie takiej monety na naczynia, ozdoby i t. p. byłoby połączona ze stratą. Złoto niezaprzeczenie, z powodu swoich przymiotów i swojej większej rzadkości, jest cenniejszem od srebra i od wieków za takie było uważanem (zwykle jest na wagę droższem od srebra od 13 do 15 razy), a jednak niektóre ludy Azyi (Birmańczycy a nawet Chińczycy) nie chcą przyjmować złota, lecz wolą srebro. Pieniądze papierowe są już nakoniec wartością najzupełniej tylko zamienną, pozbawioną wszelkiej wewnętrznej ceny. Ostatecznie pieniądze — to tylko *towar*, uważany w skutek ogólnego porozumienia się ludzi, za środek zamiany; jest to *towar*, za który można dostać wszelkich innych towarów, ale tylko tam gdzie są ludzie, co zechcą przyjąć pieniądze, a i to niezawsze i niewszędzie: wiadomo, że czasem i za pieniądze trudno dostać rzeczy niezbędnych, a często za kawał chleba lub kubek wody ludzie dają lub daliby chętnie wory złota; jak ów zgłodniały Arab z bajki, który znalazłszy w pustyni worek, mniemał że to proso, a odrzucił go z rozpaczą i pogardą, przekonawszy się, że to były dyamenty. Pieniądze nie są więc rzeczą najdroższą: byłyby taką jedynie w tym razie, gdyby same mogły rosnąć i mnożyć się przechowywane w skrzyni, gdyby mogły w potrzebie ocalić same człowieka od głodu, pragnienia, chorób i śmierci, jak o czem podobnem marzyli średniowieczni alchemicy, susząc głowy nad przygotowaniem ze złota *eliksiru życia*.

Po drugie, błędnie mniemają ludzie, że najbogatszym jest ten, kto ma najwięcej pieniędzy. Niektórzy zbyt jednostronni ekonomiści zastosowali nawet tę błędną zasadę do całych narodów i społeczeństw, utrzymując, że te z nich są najbogatsze, które posiadają największe ilości pieniędzy. Ażeby należycie zrozumieć błędność tego zakorzenionego przesądu, należy dobrze zastanowić się nad właściwem znaczeniem pojęcia bogactwa. Otóż bogactwem w nauce ekonomii społecznej nazywa się taki stan, w którym jest poddostatkiem wszelkich przedmiotów, koniecznych do zaspokojenia wymagań życia i cywilizacyi i w którym nadto ilość tych przedmiotów czyli wartości ciągle wzrasta w skutek ciągłego ruchu, handlowych i przemysłowych obrotów. Pieniądze, bez wątpienia, są do tego potrzebne, ale nie jako nagromadzone masy leżącego bezużytecznie kruszcu, lecz jako kapitał obrotowy, włożony w towary, machiny, środki przewozowe i t. p. Zdarza się więc: że kapitały w pewnym kraju są bardzo znaczne, ale ilość pieniędzy niewielka, gdyż w podobnie rozwiniętych krajach potężną jest dźwignią kredyt, a gotówki nawet mniej potrzeba i takie właśnie kraje przodują innym w rozwoju ekonomicznym. Tak np. Anglia uchodzi słusznie za jeden z najbogatszych krajów na świecie, ale pieniędzy leżących, a nawet i w obrocie, mniej tam niż we Francyi albo w Niemczech. Gdzieindziej np. sprzedaje się jeden towar, a za te pieniądze kupuje się inny i t. d. potrzeba ciągle ruchu znacznych kwot pieniężnych: w Anglii zaś np. gdy przychodzi ładunek indygo, ten składa się w magazynach, a gdy inny towar tymczasem przedstawia korzystniejszy widok zbytu, indygo oddaje się w zastaw, a za same świadectwa zastawne nabywa się co innego np. bawełna i t. d. Wiadomo, że w Anglii i we Francyi nagromadzenie znacznych ilości pieniędzy w piwnicach banków, uważanem jest za objaw nienormalnego zastoju w handlu i przemyśle. Jeżeli np. w jednym kraju znajduje się tylko 100 milionów gotówki, która obraca się w ciągu roku 10 razy, to wychodzi na jedno, jakby ten kraj posiadał 1,000 milionów *kapitału* i taki kraj będzie daleko bogatszym od drugiego, w którym np. znajduje się 300 milionów gotówki, ale uwięzionej i nieruchomej, nie odbywającej rocznie nawet 2 lub 3 obrotów. Wielkie nagromadzenie w kraju pieniędzy, bez odpowiedniego obrotu, prowadzi tylko do upadku wartości pieniędzy, ztąd do niesłychanej drożyzny i następnie do nieochybnego zubożenia, jak tego rażący przykład przedstawia nam Hiszpania w wiekach XVI i XVII, gdy była zasypaną niezmierną ilością przywożonego z Ameryki złota, a jednak prędko doszła do zupełnej nędzy i wszechstronnego upadku. Na wschodzie w wielu krajach znajduje się dużo martwych sum pieniężnych, leżących bez obrotu i mnóstwo złotych monet służy tam kobietom do ozdoby: u nas także wielu ludzi przechowuje dziś jeszcze „pleśniejące dukaty i talary" ale przy ocenie bogactwa narodowego te wszystkie pieniądze nie mogą być brane pod uwagę: są to tylko pieniądze, ale nie kapitał, wchodzący w skład bogactwa krajowego. Skąpstwo i niedorzeczne przywiązanie do pieniędzy są przeciwne zdrowemu rozsądkowi i zdrowym pojęciom ekonomicznym. Bogatym jest właściwie ten tylko, kto obraca znacznemi kapitałami, jak np. kupiec lub przemysłowiec, którego obroty roczne wynoszą 10 milionów, chociaż niemożna o nim powiedzieć, żeby miał istotnie 10 milionów pieniędzmi. Pieniądze, z natury rzeczy, przeznaczone są do kursowania i do obrotu: im więcej zatem wydajemy pieniędzy, im więcej nimi obracamy (niekoniecznie rozumiejąc przez to wydatki bezpowrotne), tem jesteśmy bogatsi. Można więc niejako wystawić sobie tysiączne krzyżujące się nici, niby druty telegraficzne, po których krążą pieniądze, a ludzie tylko przyczyniają się do tego obrotu, popychają i posuwają masy obracających się pieniędzy, bogatsi większą, ubożsi mniejszą ich ilość. Dla marnego zadowolnienia przesuwania więcej od innych pieniędzy, czy warto zapominać o tem co godziwe i dopuszczać się tylu nadużyć, jak to ludzie dla pieniędzy czynią? Tem mniej jeszcze mogą być usprawiedliwione środki nieprawe dla nabycia i wyłącznego posiadania martwych sum pieniężnych, ażeby jedynie paść oczy ich widokiem, z uszczerbkiem dobrobytu bliźnich i bogactwa krajowego. Obroty pieniężne bowiem przynoszą zysk właścicielowi pieniędzy, ale zarazem dają zarobek bliźnim, a kto dusi marny kruszec w szkatule, ten okrada sam siebie i współobywateli i przyczynia się do zubożenia kraju.

(d. n.)

Z bezsennych nocy.

Mój sąsiad — słowik, z pod N-ru 0 przy ulicy Chłodnej.

Jakże mieć miło takiego sąsiada,
Co o *miłości* tylko zawsze gada,
Ten ptak skrzydlaty, sierota w zielonej
Klatce zamknięty — śpiewa jak szalony.
Na świecie także i z człekiem się dzieje,
Że śpiewa i z swych boleści się śmieje.

* * *

Okrutni ludzie! słowik — brat pieśniarzy,
On wypuszczony z Boga ręki świętej
Maż być zamknięty?

* * *

Puśćcie go! kędy jego matka czeka
Milcząca — ptak ma coś z duszy człowieka.
Komu Bóg daje skrzydła — ten więzienie
Znieść musi — lecz go zabija cierpienie.

* * *

Słońca! róż białych! nocy księżycowych!
I serc: ufnością w Boga zbrojnych, zdrowych,
Wiosno nam przynieś — bo smutno na świecie,
I słowikowi śpiewać i poecie.

Miron.

Obrazki Warszawskie

ułożone w trzech tomach

PRZEZ

Jana Kantego Gregorowicza

ofiarowane

Autorce Kroniki zagranicznej w Bibliotece Warszawskiej.

(Dalszy ciąg).

Dorożka zatrzymała się, nad Wisłą na Solcu: stangret zeskoczył z kozła, podparł wysiadającego Stanisława i jego przyjaciół a gdy odebrał pół rubla zapłaty, skrzywił się mówiąc:

— Myślałem że przynajmniej rubelka dostanę. Takem jechał po kawalersku.

— Mój chłopusiu, odezwał się Stanisław, klepiąc dorożkarza po ramieniu; gdyby za kursa płacono po rubelku, to jabym pierwszy kupił dorożkę i ciebie woził mój bracie...

— Ej! co też to jaśnie pan mówi, zawsze jednak zdałoby się na piwko z kilka złotówek..

— No, masz mój bracie, i nie nudź mnie więcej, odrzekł Stanisław i pociągnął ku łodziom stojącym przy brzegu.

Dorożkarz przyjrzał się dziesiątce dołożonej przez Stanisława, popatrzył potem w stronę idącej młodzieży i szepnął do siebie:

— Po kawalersku kazał jechać a płaci po dziadowsku. Musi to być jaki szewczyk albo krawczyk warszawski, co z łatek i odnoszenia roboty zarobił parę rubli i teraz udaje pana i na Górkę zagląda. Kantorowicz byłby hojniejszy, a jakbym go nazwał

jasnym panem, toby i parę rubelków nie żałował. Dał mi tylko pół rubla i dziesiątkę ledwo dołożył... szubrawiec! Człowiek ani wie kiedy się złapie jak wróbel na plewę, a takie to było rezolutne, jak pan z panów choć wygląda na lokaja przebranego w pańskie rzeczy. Tfu! do paraliża, teraz już nikomu nie można wierzyć.

Młodzi przyszli nad brzeg Wisły: łodzie napełnione ochotnikami odbijały od brzegu, inne przygotowywały się do podróży, kilka zaś widać było w oddaleniu zdążających od kępy do Warszawy. Przewoźnicy zobaczywszy idących podbiegli ku nim zachwalając swoje statki różnemi uczczone nazwiskami, wypisanemi wielkiemi literami na żaglach, jak Wanda, Sobieski, Salamoński, Kuryer Warszawski i t. p.

— Tu niech panowie siadają, wołano z różnych stron, nasza Wanda migiem przeleci Wisłę, bo nie chciała Niemca ani cudzoziemca.

— Do nas panowie, krzyczeli drudzy, Sobieski bił Turków i Dunaj przepływał.

— Salamoński to najszybsza łódź, choćby dom to przeskoczy.

— Co on baje, wrzasnął już podżyły przewoźnik odpychając współzawodników, nie ma jak Kuryer Warszawski. Pędzi jak strzała, las czy skała...

— Tylko nie popychać, przerwali z gniewem potrąceni, bo jak Jakóba potrącimy...

— Przygryź język, przygryź, niech panowie siadają...

— My chcemy oddzielnej łódki, odezwał się Stanisław i zwracając się do czepiających się go kilku przewoźników, dodał z gniewem:

— Idźcie do dyabła, nie zastępujcie nam naprożno!

Przewoźnicy odsunęli się a na łodzi odezwał się głos.

— Dyabeł daleko mieszka i bez przewodnika nie trafi do niego, niech pan pokaże drogę.

Stanisław zajęty naradą z towarzyszami, udał że przytyczki nie dosłyszał; jednocześnie ozwał się dźwięk harmonijki i śpiewka głośno nucona:

Płynę, płynę w nocnej ciszy,
Świat śpi marząc a ptak dyszy
Na gniazdeczku u okienka,
Co wygląda zeń panienka.

Hej! panienko otwórz oczy,
Bo ptaszek z gniazdka wyskoczy,
Dziobnie dziobkiem, krzyknięsz: zdrada!
I gotowa z tego zwada.

Śpiewakiem był poznany przez nas Kubuś, Stanisław go ujrzał.

— Płyńmy z naszym artystą, zawołał i wszedł do łodzi a za nim czterech towarzyszy.

Mieczysław zaraz usadowił się przy jakiejś pannie zasłaniającej się starannie parasolikiem. Rozochocony dobrem śniadaniem i kilku kieliszkami szampańskiego wina, pragnął gwałtem zajrzeć w oczy swojej sąsiadki, schylał się, wyginał ale na próżno, parasolik zawsze tworzył nieprzeniknioną zasłonę. Stanisław z Janem i Maciusiem usiedli na przeciw niego. W drugim końcu łódki stał Kubuś i śpiewał przygrywając na harmonijce: tuż przy nim siedziało dwóch młodych ludzi, czeladników z twardego rzemiosła, jak to łatwo po rękach można było poznać, a przy sąsiadce Mieczysława jakaś druga dziewczyna także w kapeluszu i z parasolikiem w ręku prowadząc z sobą cichą ale pełną chichotów rozmowę. Kubuś nie przestawał grać i śpiewać, co skończył jedną piosnkę zaraz rozpoczynał drugą, i śmiejąc się, przewracając oczy ciągle zwracał się ku obu dziewczętom.

— Jeżeli oczy takie wesołe jak buzie, odezwał się Mieczysław do swoich sąsiadek, to radbym ujrzeć je a panny....

— Proszę nas nie *zaczepywać*, odburknęła się dziewczyna, kiedy my pana nie *zaczepujemy*.

Kubuś poruszył harmonijkę i zaśpiewał:

Oj oczy moje oczy,
Czemu spoglądacie
Zawsze ku tej stronie,
Gdzie kochanie macie!

— Jakże on odgadł moje uczucia, szepnął Mieczysław, nie zważając na burknięcie dziewczyny, gdyby panna choć paluszek pozwoliła uściskać...

— Bardzo proszę siedzieć spokojnie, zawołała dziewczyna odpychając rękę szukającą owego tak upragnionego paluszka, bo jak ciocię kocham tak powiem panu jakie głupstwo.

— Choćby dwa nawet, byle z oczkami ku mnie zwróconemi, przerwał Mieczysław i znowu wyciągnął rękę.

Dziewczyna na prawdę się rozgniewała.

— A to dopiero grzeczność, zawołała. Niby porządny, a jak ulicznik jaki napastuje. Jak ciocię kocham to nie do wytrzymania...

— Jak wuja kocham tak pani jesteś okrutną, wtrącił Mieczysław.

Dziewczyna zwróciła się ku niemu plecami a od przodu ozwał się młody człowiek z barami jak taran.

— Hej! hej! panie cienki, kowal umie na kowadle z cienkiej szyny zrobić grubą, a ja kowal.

Przymówka choć nie zrobiona wyraźnie do Mieczysława zrozumianą została.

Rozśmiano się w około, Mieczysław przygryzł wargi, Kubuś zaśpiewał:

Hejże, hejże, nie żartujże,
Kiedy kochasz pocałujże,
Bo mój ojciec nie żartował,
Kiedy kochał to całował.

Śmiech znowu ożywił całe towarzystwo Stanisław mruknął:

— Gbury! ale tak głośno że go wszyscy usłyszeli.

— Przecie pan Mieczysław ma już narzeczoną, odezwał się Jan.

— To i cóż z tego? Ma się wyrzec całego świata?

— Przecieć to sakra...

Stanisław rozśmiał się, Jan urwał w połowie wyrazu i zarumienił się.

— Dajże pokój, odezwał się Stanisław przyciszonym głosem, podobne tyrady mogą cię tylko narazić na szyderstwo i ośmieszenie.

Janowi zrobiło się gorąco i pot trysnął na czoło. Być znowu wyśmianym i wyszydzonym... to okropność, nie przeżyłby ponownego poniżenia, Mieczysław jednak uspokoił się: historya o kowadle, z tak skutecznym środkiem przemieniania cienkiego w grube, nie spodobała mu się: dziewczyny nie zaczepiał już więcej tylko z pod oka rzucał spojrzenia czy czasem buziaka nie wypatrzy.

— Ach! zawołał Stanisław, gdybym był na twojem miejscu, i miał podobne towarzystwo, to choćby zginąć przyszło a uzyskałbym choć jedno spojrzenie.

Mieczysław skinął na Stanisława i spojrzeniem na koniec łodzi wskazał gdzie się kowal znajdował.

— Co tam zważasz na tych gburów, wrzasnął Stanisław, i dodał ciszej: to motłoch!

— Hej! hej! panie wysoki, odezwał się kowal jakby przemawiał do jednego z towarzyszy, ostrożnie! szyna jak bardzo gorąca to się ją wrzuca w wodę żeby ostygła. Ja to w mig umiem zrobić.

— Mój braciszku, odrzekł Stanisław udając żartobliwość, każdy wie co kowal umie a czego nie umie.

— No to chwała Bogu, bo ja myślałem że to trzeba pokazać.

I kowal skrycie ale rozśmiał się znacząco, rad że właściwie zrozumiany został.

— Swar chwilowo powstały uciszył się i zapastnicy mruczeli niby do siebie i do swoich półgłosem, ale tak głośno że jedni drugich wybornie słyszeli.

— Gbury! mówił Stanisław: jak tylko dziesiątkę czują w kieszeni takie to zuchwałe.

— Fircyki warszawskie! szepnął kowal. Wyleciało to z kuchni albo z przedpokoju i udaje wielkich panów.

— Jak ciocię kocham, szepnęła sąsiadka Mieczysława, oni się pobiją i jeszcze nas potopią.

— Oh! krzyknęła druga z przestrachem, już nigdy na Saską Kępę nie popłynę, kiedy *takie nieobyczajne ludzie* na niej bywają.

— Nie bójcie się, odezwał się kowal, ja umiem pływać to was wyratuję.

— I ja także umiem pływać, dodał jego przyjaciel, po siekiersku do dna.

— Ślicznie mi pływacie, mruknęły dziewczęta.

Kubuś przez ten czas ciągle był czynny, jeżeli nie grał to śpiewał, a jak go muzyka zmordowała deklamował różne sceny ze sztuk czytanych lub widzianych w teatrze z przeróbkami według swej myśli porobionemi. Gdy skończył jaki ustęp zwracał się zaraz do dziewcząt z czułościami i grzecznościami, na które wcale się nie gniewały, gdyż stanowiły z nim, z kowalem i jego towarzyszem jedno grono znajomych szukających na kępie zabawy. Po uśmierzeniu waśni, Kubuś powstał z siedzenia i zwracając się do dziewczyn mówił deklamując z patetycznością:

Moja luba bladolico,
Pocóż gniew z lic twoich tryska,
Buzia pała, z ócz żal błyska,
Czyż się modlisz pod kaplicą?

Z pałaców sterczących dumnie,
Zejdź spiesznie do mojej chaty,
Znajdziesz u mnie świeże kwiaty,
Czule serce znajdziesz u mnie.

A jeżeli cię nie wzruszy,
Boleść serca i mej duszy,
Zgiń przepadnij czarownico,
Moja luba bladolico!

— Brawo! brawo! wrzasnął Stanisław klaszcząc w ręce, jesteś panie młody artystą pierwszorzędnym, bo i grasz wybornie i sam komponujesz.

— Dziękuję prześwietnej, publiczności, odrzekł Kubuś zrywając się z siedzenia w szybkim obrocie ku Stanisławowi.

Łódź drgnęła, zachwiała się, kobiety krzyknęły, przechyliły się na jedną stronę i powstało zamieszanie bardzo niebezpieczne. Wzywano do porządku i uspokojenia się, wreszcie obawa przewrotu minęła a Kubuś z jękiem zadeklamował:

Gdybym zginął jako mucha,
I wyzionął ducha,
Kochanki jak makówki
Zwiesiłyby smutnie główki.

Ale na szczęście stoję na pokładzie wojennego statku i jako admirał rzucam oczami ku wybrankom mojego serca, nieczułych na moje wzdychanie. De-

zdemono! zrzuć puklerz ze swojego serca, bo w toniach morskich...

Kubuś postawił nogę na krawędzi łodzi, jeden z przewoźników burknął z gniewem:

— Czego się pan kręcisz i wydziwiasz niepotrzebne androny? Siedzieć ot lepiej!

— Siadam więc, odrzekł Kubuś, a ciebie Plutonie bożku piekła, złagodzę muzyką, abyś gniew schował za pazuchę i nauczył się szanować natchnienie.

Harmonijka odezwała się, Kubuś zaśpiewał:

Marysia i złota sala,
A przytem wyborne flaki,
To mi to rozkosz prawdziwa,
Bom chłopiec nieladajaki.

— Panie artysto, odezwał się Stanisław, brakło ci widzę natchnienia.:..

— Mnie? nigdy panie, odrzekł Kubuś, i uderzając palcem w czoło mówił dalej: tutaj kipi jak war w kotle a jak wykipi to kocioł pęknie i buch do dołu.

— A jednak piosnkę tę już dziś słyszałem na Górce w cukierni, kiedy...

— To pan był dziś na przedstawieniu sceny starego Horacyusza?

— A jakże, całej wysłuchałem.

— Najulubieńsza to moja tragedya. Ludzie w niej z kamieni, młody Horacy mówi do narzeczonego swej siostry:

I by mowę naszą już przerwać czem pręcej,
Gdyś od Alby wybrany nie znam cię już więcej.
A ja cię znam jeszcze (mówi Albańczyk) to mnie wskroś [przenika,
Gdyż mi nieznaną była ta cnota tak dzika.

— Prześlicznie deklamujesz panie artysto, odezwał się Stanisław, zapewne lekcye deklamacyi musiałeś brać od pana Bolesława.

— Od pana Bolesława, z obawą powtórzył Kubuś, czy go pan wysoki zna?

— Znam, był przecie na Górce.

— Czy on tu gdzie jest? Ja nie żaden artysta tylko tokarz zwyczajny rzemieślnik.

I na raz jeden Kubuś uspokoił się, choć go Stanisław chciał rozruszać, i tylko przygrywając na harmonijce mruczał coś niewyraźnie do siebie.

— Ten Bolesław to jakiś opętaniec, szepnął Stanisław do swych towarzyszy. Widocznie Kubuś się go boi, jakżebym rad dowiedzieć się bliższych o nim szczegółów.

Wtem nadpłynęła łódź od przeciwnej strony i tak blizko podsunęła, że obie zetknęły się krawędziami.

— Na bok niedźwiedziu! wrzasnął jeden z przewoźników, brak ci miejsca czy co żebyś się na nas pakował.

— Nie mrucz, nie mrucz, bo ci kaganiec włożę i zagram na piszczałce i bębenku.

— Z takim prostakiem to żal się Boże jeździć....

— A tyś krzywy od nadwiślanego kija.

— Ru! na wodę ciemięgo!

— Ru! na wodę partaczu!

Łodzie odpłynęły. a przewoźnicy ze śmlechem dogadywali sobie pracując wiosłem z podwojoną siłą.

Rozdział XXIV.

Łódź dobiwszy do celu wyprawy, uderzyła silnie o brzeg, tak że wszyscy jadący potrącili się wzajemnie i dziewczęta krzyknęły przestraszone. Mieczysław chciał podać rękę sąsiadce, ale ta odwróciła się od niego i zawołała opryskliwie:

— Idź pan sobie do samego dyabła, a to czyste skaranie z temi zaczepkami!

— Chciałem pannie usłużyć tylko przez grzeczność.

— Ja do posług nie przyzwyczajona, to sama sobie dam radę.

Pierwszy na brzeg wyskoczył Kubuś zawzięcie wygrywając na harmonijce, za nim wyruszył kowal ze swem towarzystwem i dwie dziewczyny zostające pod jego opieką. Jedna z nich była siostrą kowala a druga jej przyjaciołką; zajmowały się służbą i do jednej zalecał się kowal a do drugiej jego towarzysz ślusarz z profesyi. Kubuś przypadkiem spotkany, przyczepił się do znajomych i razem z niemi wyruszył na Saską kępę. Zaraz za tem gronkiem wyskoczył z łodzi Stanisław i Mieczysław z kwaśną cokolwiek miną na gburowatość dziewczyny, co tak publicznie pogardziła jego zalotami. Maciuś pośpiewywał przyspasabiając cygaro, a Jan szedł za nimi rozmyślając nad śmiałością Warszawiaków, z taką natarczywością zaczepiających nieznane sobie kobiety, i pomimo zamierzonych związków małżeńskich, zalecających się do młodych dziewcząt jakby byli niczem nie skrępowani. Stanisław pragnąc wybadać Kubusia co do szczegółów dotyczących Bolesława, pospieszał za nim pociągając całe z sobą towarzystwo. Kubuś grał ciągle, a dziewczęta chichotały, kowal szedł z przyjacielem paląc papierosy.

Na Kępie jako w dzień świąteczny ruch był wielki, publiczność zgromadzona przeważnie składała się z klasy służebnej i rzemieślniczej. W pierwszej zaraz kolonii najbliższej przystani, wszystkie stoliki w ogrodzie zajęte były biesiadnikami złożonymi zarówno z mężczyzn, kobiet jak dzieci. Były to po większej części rodziny powiększone bliżej znajomemi, dla których wycieczka na Kępę stanowiła majówkę układaną jeszcze w zimie i wyglądaną niecierpliwie jak wędrówka do Czerniakowa albo na Bielany. Nęciła je tu głównie świeżość powietrza i wiejskie całej Kępy urządzenie, za któremi tak wzdycha Warszawiak ogrodzony szczelnie murami w swej pracowni od całego świata i karmiący się wiecznie dusznem powietrzem przesyconem wyziewami zarówno w domu jak na ulicy. Tu wszystko było inaczej; nad drożynami powiewały liściaste gałęzie wierzb i olszyny, w pośród nich świegoliło rozliczne ptastwo, błonia zieleniły się, pasło się bydło, kawałki pól niewielkich falowały zbożem dojrzewającem, inne postrojone były kopkami pożętych plonów, albo sterczały ścierniem po dopełnionym zbiorze. Wszystko to nęciło, zachwycało miejskich przybyszów, każdy czuł się żwawszym, swobodniejszym, a dziatwa i wyrostki nacieszyć się nie mogli możnością wybiegania się i nafiglowania co tylko tchu starczyło.

(*d. c. n.*)

Ciągle iść!

Pozrywane ducha struny,
Potargane życia nici,
W górze — jeszcze grzmią pioruny,
Błyskawica jeszcze świeci
A ty wołasz żeby iść!

Gdzie, i po co, i dla kogo
Stopy krwawić mam na nowo?
Dokąd dojdę ja tą drogą,
Kiedyż ujrzę gwiazdę ową,
Po co ja mam dalej iść!

Po to iść — gdzie nie wolno
Wśród wszech ruchu tobie stać,
A choć krwawą i mozolną,
Droga twoja, trzeba trwać
I wciąż w górę, w górę iść!

A im dalej — a im wyżej,
Tem mieć będziesz więcej sił,
Będziesz gwiazdy swojej — bliżej,
Piorun u stóp będzie bił,
Ty — nad burzą będziesz iść.

Aż twym oczom zajaśnieje,
Ta szukana gwiazda twa,
Przegrzmią gromy i zawieje
Znikną wszystkie chmury — mgła.
I już w słońcu będziesz iść!

Ewelina.

WIEDEŃ I ŻYCIE WIEDEŃSKIE.

PRZEZ

Wiktora Tissot.

(Autora słynnej „Podróży do kraju miliardów“.)

Streszczone przez J. B.

(Dalszy ciąg).

Marya-Teresa nie tylko była w swoim czasie najpiękniejszą, najwymowniejszą i najenergiczniejszą z kobiet królewskiego rodu, ale nadto odznaczała się bystrością i przenikliwością umysłu i głębokim poglądem męża stanu. Widziała i pojmowała dobrze nienasyconą żądzę powiększania się i przywłaszczania jaką się zawsze odznaczały Prusy. „Niech nikt nie daje się wywieść w pole pochlebnym przedstawieniom i obietnicom pruskiej polityki; król posługuje się niemi aby dojść do celu, ale gdy urzeczywistni swoje zamiary, nikomu i w niczem nie dotrzyma słowa. Tak postępuje on ze wszystkiemi państwami *wyjąwszy jednej Rosyi*, bo tej się boi.

Zrozumiała doskonale system zasadzający się na wytwarzaniu i utrzymywaniu wielkiej armii, gotowej do zaczepnych działań przy każdej zdarzonej sposobności, i jeden tylko widziała sposób położenia tamy zgubnym i zaborczym wyrachowaniom pruskiej polityki, silne zaczepno odporne przymierze Austryi z Francyą.

„Któż w Europie, pisała, nie wie ile można liczyć na króla Fryderyka i na jego słowo. Francya kilkakrotnie przekonała się o tem, i nie ma monarchy któryby zdołał uniknąć jego złej wiary. I taki to monarcha praguie narzucić się Niemcom jako dyktator i protektor! I dziwna rzecz iż wszystkie państwa nie sprzymierzą się w celu odwrócenia takiego niebezpieczeństwa, które prędzej czy później srodze każdemu da uczuć ciężkie swe brzemię. Od lat trzydziestu siedmiu, człowiek ten, silny swemi zwycięztwami i swym wojskowym despotyzmem, stał się istną plagą Europy. Zdeptał wszelkie szanowane dotąd zasady prawa, prawdy i słuszności, drwi sobie z traktatów i przymierzy, *a my najpierwsi wystawieni jesteśmy na jego ciosy*.“

Z jej śmiercią skończyła się najświetniejsza epoka Austryi; nim na zawsze opuściła ten świat, powie-

działa te słowa: ,,Przyszłość nie przedstawia mi się zbyt świetnie, przeczuwam dziś już wyłaniający się ten groźny, wszelkich zasad pozbawiony despotyzm pomiatający wszelkiemi zasadami, nie szanujący nic i starający się jedynie o własną korzyść. Jeśli takim zasadom nie położą tamy, jakże to smutna będzie przyszłość naszych następców!"

Przyszłość, ta, był to rok 1866, rok 1870, a któż wie co gotuje jutro?

XII.

Apartamenta cesarskie w Burgu, bynajmniej nie odznaczają się przepychem. Nie ma tu owych wyszukanych mebli dogadzających miękkiemu i próżniaczemu życiu; nie stąpa się po puszystych perskich kobiercach; nie można rozpierać się po wygodnych kozetach i szeslągach, jakie można dziś znaleźć w najzwyczajniejszych salonach, całe umeblowanie zwiastuje dom starożytny i zamożny. Monarchowie austryaccy byli zawsze pierwszymi tylko obywatelami swego państwa. W każdej porze, we dnie czy w nocy, lud ma wstęp do pałacu i często prosty robotnik mija się na dziedzińcu z cesarzem wracającym z przechadzki lub wyjeżdżającym konno. Żadne zapory ani baryery nie otaczają tronu; możnaby tu sądzić że żyjemy w owych jeszcze czasach, gdy monarchowie siedząc pod dębem wydawali wyroki. Pewnego dnia podczas audyencyi publicznej, monarcha pytał Węgrów po węgiersku, Czechów po czesku a załatwiwszy się z nimi zbliżył się do stojącej przy drzwiach gromadki Wiedeńczyków.

— A wy czego żądacie? zapytał.

— Niczego N. Panie; przyszliśmy dla tego jedynie aby się nacieszyć twoim widokiem. I odeszli głośne na cześć monarchy wydając wiwaty.

Dwór austryacki jest jednym z najpopularniejszych; stosunek cesarza do ludu, jest jakby łączący ojca z dorosłymi synami. To też republikanie wiedeńscy wszyscy prawie są imperyaliści. Zdaje się to czemś najzupełniej niepodobnem, a jednak jest faktem dowiedzionym. W najgorętszych dniach powstania w r. 1848, lud umieścił nad barykadami portret cesarza otoczony wieńcem róż, a w nocy palono świece przed tą szanowaną przez nich postacią. „My nie powstajemy przeciw naszemu cesarzowi, mówili ci rewolucyoniści, ale przeciw jego ministrom, przeciw znienawidzonemu Meternich'owi."

Gdy cesarz Ferdynand sam, bez żadnej eskorty, przejeżdżał się w otwartym powozie po ulicach Wiednia, powstańcy witali go z zapałem. Wiedeńczycy nadali mu przydomek ,,dobry,, i rzeczywiście był bardzo względny i miłosierny. Dotąd krążą o nim między ludem różne anegdoty i legendy. Pewnego dnia cesarz przechadzał się po parku w Schoenbrun; przybyli tamże jacyś Anglicy, sądząc że jest to ktoś ze służby pałacowej, prosili go aby im pokazał ogród. Cesarz Ferdynand oprowadził ich wszędzie, pokazał i objaśnił wszystko i dostał dwa floreny za fatygę. „Przecież choć raz w życiu, rzekł, zarobiłem dwa floreny." Innym razem przechadzał się w okolicach Schoenbrun i spotkał niosących trumnę, martwych zwłok nikt nie odprowadzał do mogiły. Cesarz wyraził z tego powodu swoje zadziwienie towarzyszącemu adiutantowi: „Musi to być jakiś biedak nie mający ani rodziny ani przyjaciół, odrzekł tenże. Kiedy tak, to pójdźmy za trumną; rzekł Ferdynand, i zdjąwszy kapelusz szedł z odkrytą głową, rzucił pierwszy garść ziemi i pomodliwszy się nad nieznaną mogiłą, powrócił do pałacu."

Cesarz Ferdynand źle zrobił opuszczając Wiedeń z powodu iż powstanie zaczęło groźniejsze przybierać rozmiary. Najpierw udał się do Insbruck, jak zestraszony orzeł wracający do swego gniazda, a gdy Windischgraetz i Jellachic weszli do Wiednia, przeniósł się do Ołomuńca i tam abdykował. Brat cesarza, Franciszek-Karol, nie chciał ująć berła swemi osłabionemi rękami i przekazał je starszemu swemu synowi; siedmnastoletniemu Franciszkowi-Józefowi. Żegnaj mi, młodości moja, zawołał tenże, poczuwszy na swoich blond włosach koronę, jaką wkładała na nie odwieczna dostarczycielka rusztowań i tronów, Rewolucya.

Sprawdziły się jego przeczucia: wybuchła znów wojna włoska, a pewnego ranku młody cesarz musiał chwycić broń dla poskromienia Węgier, które nie chciały uznać go swym królem i powstały z zamiarem odłączenia się od Austryi. Stanął pod Raab 20 czerwca 1849 r. właśnie w chwili ataku. Wojsko powitało młodego monarchę hymnem narodowym „Boże cesarza chroń" i działa zagrzmiały na całej linii. Po upływie kwadransa, jenerał Schlik przybiegł do cesarza, mówiąc:

— N. Panie, teraz przystąpimy do szturmu i zdobędziemy Raab.

— Stanę na czele wojsk i pierwszy wejdę do Raab.

— Daruj, N. Panie, odrzekł jenerał Schlick, po raz to pierwszy i ostatni poważam się sprzeciwić W. C. Mości, ale jeśli pragniesz koniecznie wejść do Raab, to razem z trzecim batalionem i obok mnie.

Cesarz Mikołaj posłał Austryi wojska swoje na pomoc i powstanie węgierskie zostało uśmierzone. We Włoszech, król Karol-Albert oddał szpadę jenerałowi Radeckiemu; pokój przynajmniej nastał w cesarstwie, bo gruntowne uspokojenie, to nie mogło nastąpić tak nagle; po powstaniach, jak po burzach zawsze czas jakiś trwa jeszcze głuche wrzenie.

Gdy cesarz Franciszek-Józef powrócił do Wiednia d. 14 czerwca 1852 r. też same ulice na których przed czterema laty jeżyły się barykady, teraz przystroiły się w girlandy, chorągwie i bramy tryumfalne. Cechy ze swemi starożytnemi sztandarami tworzyły szpaler, a radośne okrzyki rozlegające się w powietrzu wzbijały się pod obłoki, pewnie zadrżały od nich w swych grobowcach, prochy starych cesarzów. Świetna iluminacya jaką cały Wiedeń zajaśniał wieczorem, nadała całej uroczystości postać apoteozy.

Wiedeńczycy byli dumni ze swego młodego monarchy; idąc ulicami co dziesięć kroków można było zobaczyć jego statuetkę, popiersie lub portret. Jeśli raczył się ukazać w jakimś z najarystokratyczniejszych salonów, stawał się przedmiotem hołdów niewieścich. Gdy tylko pojawił się *le prince Charmant* wszystkie serca pokryte jedwabiem i koronkami żywiej bić zaczynały. Jego blond włosy i niebieskie oczy miały niewysłowiony urok, a słodki i rozmarzony wyraz twarzy, zdradzał zarazem odwagę i rycerskość. Zarzucając dawną etykietę, według której damy z któremi cesarz miał tańczyć z góry były oznaczone, Franciszek-Józef jak zwykły śmiertelnik sam wybierał sobie tancerki. Ileż to zazdrości budził każdy wybór!

Tak było nieprzerwanie aż do 18 lutego 1853, w którym to dniu młody cesarz o mało nie padł pod nożem zabójcy. Podczas przeglądu na pochyłości wałów, morderca rzucił się z nożem i ugodził nim monarchę w szyję; kołnierz mundurowy osłabił cios, rana była lekka, w tem właśnie miejscu stanął kościół z *votum* na pamiątkę ocalenia.

W roku 1854 Franciszek-Józef ożenił się z miłości, z uroczą księżniczką, niemal pasterką. Wzrosła i wychowała się wśród gór, z siostrami i starym ojcem, który żył jakby prosty szlachcic wiejski, sam ubierał się w grube sukno a córki w wełniane sukienki. Młodziutka księżniczka ani myślała o tronie i nie była do niego wychowaną, a młodemu monarsze jedną ze starszych sióstr jej przeznaczano za żonę. Ale dzisiejsza cesarzowa wtedy już była królową piękności. Franciszek-Józef przybył raz z polowania do przyszłego teścia nad brzegi jeziora Traun. Rozmawiał właśnie z czterema księżniczkami z których jedna została następnie królową neapolitańską, druga księżną Turn i Taxis, trzecia hrabiną Trani a czwarta księżną d'Alençon, gdy wtem nagle zobaczył na skraju lasu, który zachodzące słońce różnobarwnemi opromieniało blaski, prześliczne dziewczę w białej sukni, idące z wielkim psem. Promienie słoneczne łamały się po jej sukni; przepyszne włosy okrywały ją jakby płaszczem, posuwała się jakby otoczona złotą aureolą. Od pierwszego wejrzenia na te urocze zjawisko, młody monarcha uczuł że młodziutka księżniczka Elżbieta zawładnęła jego sercem, postanowił pojąć ją za żonę. W kilka dni później, na balu w Ischl, cesarz cały wieczór tańczył i nie odstępował księżniczki Elżbiety, którą nazywał „wieszczką lasu" i tym sposobem publicznie dał poznać swój wybór.

Kilka lat po pobraniu się, para monarsza przeżyła w doskonałem szczęściu i spokoju, lecz niedługo piorun miał uderzyć — podwójna katastrofa spadła na Austryą: wszyscy dawni przyjaciele opuścili ją, a cesarz nie znalazł w ludach swoich dostatecznego poparcia i pomocy. Znany jest przebieg wojny prusko austryackiej; wojska austryackie zostały pobite skutkiem nieudolności dowódzców. Dowiedziawszy się o tej strasznej klęsce, Franciszek-Józef padł jakby piorunem rażony! Mniemano że to atak apoplektyczny, na szczęście było to tylko silne zemdlenie. Dzięki swej silnej konstytucyi, cesarz odzyskał siły, ale po rozczarowaniach militarnych nastąpiły polityczne, do żółci dodano octu. Ileż to monarcha ten nie przebył w przeciągu 28 lat swego panowania!

Jednak mimo tylu zawodów, upokorzeń i przykrości, Franciszek-Józef umiał zachować słodycz i pogodę charakteru, i jeśli Austrya nie upadła dotąd, zawdzięcza to tylko swemu monarsze i jego dziedzicznym, właściwym habsburgskiej dynastyi przymiotom. Książęta tego domu, dzięki swej rzadkiej wytrwałości i nieprzebranej cierpliwości, umieli zawsze wyjść z najtrudniejszego położenia, nie poniżając swej godności. Wszyscy przyznają że i obecny cesarz, zamiast upaść, podniósł się jeszcze skutkiem przebytych nieszczęść, i dziś, monarcha ten którego płaszcz królewski poszarpano, a panowanie całe było jednem długiem pasmem przeciwności, jest jedną z najsympatyczniejszych głów koronowanych. W kwiecie młodości wstąpił na chwiejące się stopnie podkopanego tronu, i w każdej okoliczności dawał dowody zupełnego zaparcia siebie i głębokiego poczucia obowiązków i poświęcenia się dla dobra swych ludów. Historya odda mu kiedyś tę sprawiedliwość.

Franciszek-Józef jest wzorowym ojcem rodziny, wychowuie dzieci swoje nadzwyczaj starannie i sam pracuje ciągle i kształci się coraz wyżej we wszystkiem co jest pożyteczne, dobre i piękne. Lubi bardzo muzykę, literaturę i sztuki piękne. Prywatna jego biblioteka, znamionuje człowieka naukowego i z wykształconym gustem. W stolicy swojej, w tym Wiedniu tak przepadającym za uciechami i użyciem, monarcha austryacko-węgierski prowadzi życie jakby pracowitego i sumiennego urzędnika. Bardzo lubi muzykę, a jednak nader rzadko bywa w Operze i na teatrze; tylko w razie konieczności ukazuje się na uroczystościach i świetnych zebraniach. W tej godzinie w której w Wiedniu rozpoczynają się najweselsze zabawy, cesarz udaje się na spoczynek, a zimą i latem wstaje o piątej rano.

Czynny ten i pracowity monarcha nie próżnuje ani chwili. Pomodliwszy się, pije kawę którą stawiają mu na biórku, przy którem paląc cygaro odczytuje depesze i raporta; o jedenastej drugie nader skromne śniadanie, i cesarz pracuje nieprzerwanie aż do obiadu, który zazwyczaj spożywa w rodzinnem kółku. Prywatny gabinet cesarza znajduje się między gabinetem toaletowym i salą obrad; na biórku stoją portrety dzieci a na ścianach wiszą dwa portrety cesarzowej pędzla Winterhaltera i obrazy bitew. Sala obrad ozdobiona jest marmurowemi popiersiami ojca cesarza, arcyksięcia Franciszka-Karola i matki jego, arcyksiężnej Zofii, dalej stoją statuetki: arcyksięcia Karola, marszałka Schwarzenberg'a, i prześliczny portret księcia Feliksa Schwarzenberg'a, zmarłego w 1853 r. który po wstąpieniu na tron młodziutkiego cesarza, był pierwszym jego ministrem, doradcą i przewodnikiem.

Wiadomo że ministrowie są w Austryi mianowani przez cesarza, który prezyduje w radzie ministrów, przedstawia projekta do praw i ogłasza postanowione, a nadto przysługuje mu prawo łaski. W nieobecności cesarza, jeden tylko hrabia Andrassy, minister spraw zagranicznych i domu cesarskiego, ma prawo prezydować na radzie ministrów, i zarówno jak ministrowie wojny i ogólnych finansów, jest on odpowiedzialny przed sejmami obu połów cesarstwa, przedlitawską i zalitawską. Gabinet węgierski, urzędujący w Peszcie, przedstawiany jest na dworze przez jednego ze swych członków, a do spraw kroackich i galicyjskich mianowanych jest zawsze dwóch specyalnych ministrów.

Cesarz Franciszek-Józef umie spokojnie i cierpliwie wysłuchać rozpraw, prędko pojmuje ich wątek i zgłębia wszelkie zdania; niekiedy zanim poweźmie stanowcze postanowienie, ciągnie się za swe długie wąsy, jak kiedyś Napoleon III. Nie lubi długich rozpraw i frazesów; sam wyraża się płynnie z jakąś szczerą prostotą, umie przekonać i jasno rzecz przedstawić, nie uciekając się do oratorskich wybiegów. Dźwięk głosu jego jest bardzo miły, cała postać i obejście bardzo sympatyczne. Z oczu bije łagodność i prawość charakteru. Czoło wysokie i szerokie, nos kształtny, dolna warga mniej wydatna niż u innych potomków rodu Habsburgów. Jadąc konno, cesarz odznacza się nader elegancką i majestatyczną zarazem postawą, ale najkorzystniej przedstawia się gdy przy odgłosie trąb i muzyki wojskowej, wśród tumanów kurzu pędzi na czele wojska; wtedy budzi się w nim żywo wrodzony instynkt wojowniczy, przypomina sobie zapewnie Raab, Comorno i Solferino, gdzie walczył i narażał się jak prosty podoficer.

Franciszek-Józef jest także śmiałym i zapalonym myśliwcem: uganiając się za gemzami przeskakuje wysokie gór wierzchołki, ze zwinnością i wprawą tyrolskich górali, których malowniczy ubiór przywdziewa udając się na alpejskie wycieczki.

W lecie. dwór przenosi się do Schoenbrunn, do Luksenburga, do Gödölö pod Pesztem lub do Ischl. Cesarz wieczorem opuszcza Wiedeń, jakby jakiś przemysłowiec po zamknięciu fabryki; przepływa w nocy jezioro Traun i o piątej rano przybywa do Ischl. Często można go spotkać w okolicach, w skromnym paltocie, z wielkim kijem ręku, przechadzającego się lub siedzącego przed drzwiami jakiejś fermy, i rozmawiającego z dziećmi fermerów. Wieczorem, cała rodzina cesarska wsiada do łodzi, a cesarzowa przygrywa na cytrze, tej wiejskiej gitarze Alp tyrolskich, którą wprowadziła w modę w Peszcie i w Wiedniu. Cesarzowa Elżbieta jest artystką i bardzo ładnie rysuje; nienawidzi dworaków, i w pierwszym roku swego pobytu w Wiedniu, zapełniła kilka albumów zdjętemi z nich karykaturami, przez co zrobiła sobie wielu niechętnych. Niemcy mają jej za złe że Węgrom daje pierwszeństwo i że namiętnie lubi konie, a w Wiedniu z tego nie kontenci iż ilekroć zwiedza szpitale i zakłady miłosierdzia, nigdy o tem uprzednio nie każe zawiadamiać zarządu. Cesarzowa Elżbieta jest wzorową matką. Gdy dzieci jej były małe często całe noce przesiadywała przy ich kolebkach; we dnie nosiła je, sadzała na kolanach, huśtała na ręku, śpiewała im stare piosenki, ściskała, całowała, pieściła, zapominając o etykiecie która nakazywała jej być poważną i sztywną, jej co poszła za mąż w szesnastym roku i rosła jeszcze po urodzeniu swej drugiej córki. Gdy umarła starsza jej, dwuletnia córeczka, cesarzowa złamana boleścią przeniosła się do Luksenburga, tam gdy wchodziła do swoich apartamentów zaczął skakać przed nią pies new-founlandzki z którym bawiła się zmarła księżniczka, cesarzowa przycisnęła go do siebie i głośnym zaniosła się płaczem.

Córka cesarska, arcyksiężniczka Gizella, zaślubiła księcia Leopolda Bawarskiego; druga Marya-Walerya ma dopiero lat dziewięć, a następca tronu, arcyksiążę Rudolf, jest już pełnoletni. Z tej okoliczności odprawione było uroczyste nabożeństwo w kaplicy zamkowej, a następnie, guwerner arcyksięcia, jenerał Latour, przedstawił cesarzowi swoje podanie o dymisyą. Dodano następcy tronu za towarzysza młodego i bardzo miłego hrabiego Bombelles, dawniej kapitana okrętu, jednego z najwierniejszych przyjaciół cesarza Maksymiliana, w celu odbycia podróży dla uzupełnienia swej edukacyi. Arcyksiążę Rudolf najpierw udał się do Bawaryi, do Monachium, gdzie król Ludwik, najoryginalniejszy z królów, którego można by nawet nazwać królem oryginałów, wyprawił dla niego ucztę nocną, w słynnym swoim Ogrodzie zimowym. Illuminowane globy błyszczały jak meteory a olbrzymia gwiazda rzucała czerwonawe światło na podzwrotnikowy krajobraz. Ludwik II poprowadził swego gościa na wzgórze gdzie pod namiotem stał stół zastawiony potrawami i owocami dalekiego Wschodu. Do około ukryci wśród krzewów muzykanci, wygrywali melodye Wagnera; w tem nagle olbrzymie lotusy otworzyły swe srebrzyste kielichy, a z nich wyłoniły się bajadery i zaczęły tańczyć „Taniec gwiazd“ choreograficzny utwór króla Ludwika.

Następca tronu austryackiego jest skończonym sportsman'em i śmiałym myśliwym. Jego wielkie jasno niebieskie oczy zdradzają dobroć i bystrą inteligencyą; jest uderzająco podobny do cesarza. Wychowany jest w twardej szkole i wcale nie nawykł do gnuśności i próżniactwa — kto wie, może cierpienia ojca, okupiły świetną przyszłość dla syna?

(d. c. n.)

Gawędy naukowe.

Dawność wakcyny, pochodzenie chorób. — Doświadczenia metalurgiczne w Creusot. — Dzikie zwierzęta w Indyach. — Szarańczyn strączkowy.

W tych czasach zrobiono ciekawe odkrycie badając starożytne księgi Indyjskie, które jak wiadomo zawierają wiele ważnych szczegółów i rzucają wiele światła na pierwotną cywilizacyą Gangesowego półwyspu i plemion dalekiego Wschodu. Otóż jedna z ksiąg takich, uważana za świętą i jako taka przechowywana po pagodach indyjskich, wykazuje że szczepienie ospy i wakcyna, której wynalazek przypisywano doktorowi Jenner od bardzo dawnych czasów znane były i używane w Indyach i choroba ta, wraz ze środkami leczenia i zapobiegania, jak najdokładniej w owej księdze jest opisaną.

Autor jej zowiący się Dhauwanktary, za ojca indyjskiej medycyny uważany, żył na dwa tysiące lat przed Hippokratesem.

Co do pojawienia się ospy i innych chorób epidemicznych pomiędzy ludźmi, istnieje w Indyach dość ciekawa legenda. Bogowie stworzywszy ludzi i zwierzęta, nie poddali ich zrazu prawu śmierci; rozmnażali się więc szybko i nie ubywali wcale, i wkrótce bogini ziemi poczęła się uskarżać iż tak wielkiej ich liczby wyżywić już nie może. Wtedy wielki Brahma stworzył Kali, boginię śmierci. Ale Kali była kobietą i jako taka będąc litościwą, wzdragała się na myśl udziału w nieszczęściu ludzi, płakała więc przez lat wiele, błagając Brahmę o inne posłannictwo na ziemi. Brahma chcąc los jej złagodzić, zawyrokował ażeby osobistego udziału w śmierci nie miała, ale aby wszystkie łzy przez nią wylane stały się chorobami i wyniszczały ludzi i zwierzęta.

Sakli, bogini natury, widząc szerzące się wszędzie zniszczenie, powołała człowieka natchnionego który nazywał się Dhauwanktary, odkryła mu sposoby leczenia chorób i podtrzymywała go w ciągłej walce przeciw bogini śmierci.

Pomiędzy chorobami przez uczonego Indyanina w owej księdze opisanemi, wyszczególnionych jest dziesięć rodzajów ospy i opis dokładny jak ją szczepić należy, jak zbierać krowiankę, (wakcynę), jak za pomocą lekkiego ukłócia ostrem żelazem pomiędzy łokciem a ramieniem z krwią zmieszawszy, wywołać ospę, lekką, nieszkodliwą i żadnego leczenia nie wymagającą.

Z Indyi szczepienie ospy rozeszło się po sąsiednich krajach, szczególnie w Persyi, gdzie było w powszechnem użyciu w czasach bardzo dawnych. Czy dr. Jenner znał księgę ową, czy może od Persów zasłyszał o tej metodzie, czy sam nareszcie wpadł na tę myśl szczęśliwą? Niewiadomo, i nikt na to pytanie odpowiedzieć nie może.

Do jak olbrzymich obrazów i do jakiej potęgi mechanicznej dochodzą fabryki teraźniejsze, francuzka odlewnia stali w Creusot przedstawia nam dowód wymowny. W końcu marca odlano tam jednolitą sztabę czystej stali, ważącą około 250,000 funtów. Ta niezmiernie trudna praca wybornie się powiodła i ośmieliła dyrektora tego zakładu p. Schneidera, do przedsięwzięcia jeszcze większego dzieła w tym rodzaju. Ma być niem sztaba najprzedniejszej stali również jednolita, wagi 350,000 funtów, z którą na przyszłej wystawie chce się popisać. Wagą swoją przejdzie ona o dwa i pół razy największe działo jakie dotąd w słynnej fabryce Kruppa odlanem zostało.

Bardzo ciekawą rzeczą jest statystyka zwierząt drapieżnych w Indyach i szkód jakie one wyrządzają, z największą ścisłością przez rząd prowadzona, który dość znaczną cenę za ubitego drapieżnika i jadowitego węża wypłaca. W roku 1876, 21,096 ludzi i 48,680 sztuk bydła zginęło od zwierząt drapieżnych i jadowitych wężów. W tymże roku wytępiono zwierząt drapieżnych 22,357 a wężów 270,185! Wcale pokaźna cyfra, szczególnie tych ostatnich!

Rok ubiegły 1877 małą pokazuje różnicę, pomimo systematycznego niszczenia niebezpiecznych zwierząt; od nich bowiem w ciągu tego roku poniosło śmierć 19,273 ludzi a bydła sztuk 54,830. Zabito zaś 212,371 węży a 23,459 zwierząt drapieżnych.

Sprawozdanie statystyczne następne szczegóły przywodzi: 52 ludzi zginęło od słoni, 156 od panter

i lampartów; 917 od tygrysów; 123 od niedźwiedzi; 887 od wilków, 49 od hyen, 143 od różnych innych zwierząt, a 15,946 od ukąszenia jadowitych węży. To wszystko w ciągu jednego roku. Bydło zaś tak się rozdziela: 3 sztuki zabite przez słonie, pożartych przez tygrysy 13,116; przez pantery i lamparty 15,373; przez niedźwiedzie 410, przez wilki 12,448; przez hyeny 2,039, przez różne inne zwierzęta 4,573; od ukąszenia węźów 6,468. Liczba zabitych zwierząt w ciągu ostatniego roku tak się przedstawia: słoni sztuk 4, tygrysów 1,693, lampartów i panter 3,768, niedźwiedzi 1,362, wilków 5,976, hyen 1,585, różnych drapieżnych 8,053, i 212,371 węży jadowitych. Tu wymieniono te tylko zwierzęta za które premium wypłacono.

We Francyi południowej i wszędzie po brzegach Śródziemnego morza rośnie drzewo o pniu grubym, liściach pierzastych i wiecznie zielonych, którego strąki oprócz ziarn, zawierają miękisz obfity, miodowego smaku i dość bogaty w części tłuste. Dzieci bardzo je lubią a lud ubogi często w niedostatku jako pokarm używa. Drzewo to w botanice zowie się *Szarańczyn strączkowy* (Ceratonia siliqua), a ususzone strączki znajdują się wszędzie w handlu pod nazwą *rożków* albo *chleba świętojańskiego*. Otóż obecnie zwrócono na to drzewo baczniejszą uwagę i we Francyi starają się je rozmnożyć; drzewo jego bowiem daje wyborny materyał do wielu wyrobów stolarskich a strączki, które w znacznej ilości się rodzą, stanowią wyśmienity pokarm dla zwierząt domowych szczególnie dla wieprzy i wołów na opas przeznaczonych; przytem rośnie ono na najgorszych kamienistych i piaszczystych gruntach, a więc można niem obsiewać wszelkie nieużytki.

Czyby i u nas, w stronach nieco ku południowi położonych i w miejscowościach mających południową wystawę, na pustkach i wydmach nie należało spróbować uprawy tego szacownego drzewa? Na mrozy jest ono wytrzymałe o tyle przynajmniej ile morwa, uprawa mało starania i żadnych kosztów nie wymaga, a pożytki zaś z niego bardzo znaczne. Na Podolu, zwłaszcza po nad Dniestrem i w wielu miejscowościach Galicyi, niezawodnie udałoby się ono wybornie.

Przegląd literacki.

Wydawnictwa historyczne i pamiętniki. 1) Dziejopisarstwo polskie wieków średnich, dzieło prof. H. Zeissberga, przekład z niemieckiego (pod redakcyą A. Pawińskiego) 2 tomy. Warszawa 1876. 2) Źródła dziejowe. Tom III. Stefan Batory pod Gdańskiem (1576—1577), listy, instrukcye i uniwersały, wydał A. Pawiński. Tom IV. Początki panowania Stefana Batorego (1575—1577), listy, uniwersały i instrukcye wydał A. Pawiński. Tom V. Lustracye królewszczyzn w ziemiach ruskich Wołynia, Podola i Ukrainy, wydał A. Jabłonowski. Tom VI. Opis zamków ziemi wołyńskiej, wydał A. Jabłonowski. Warszawa 1877. 3) Opowiadania i studya historyczne przez K. Jarochowskiego. Warszawa 1877. 4) Stefana z Proszcza Medekszy, księga pamiętnicza wydarzeń zaszłych na Litwie 1656—1668 r. z rękopismu wydał dr. Seredyński. Kraków 1875. 5) Biblioteka Ordynacyi Krasińskich. Muzeum Świdzińskiego. Tom III. Pamiętnik Jana Stanisława Poczobuta Odlanickiego (1640—1658). Warszawa 1877. 6) Obrazy z życia kilku ostatnich pokoleń w Polsce przez Juliusza Falkowskiego. Poznań 1877. 7) Pamiętniki z wojny hiszpańskiej (1808—1814) Stanisława Brockerc, b. oficera b. legionów francuzko polskich, przełożone z oryginału niemieckiego przez córkę autora Paulinę Cybulską. Warszawa 1877. 8) Listy Słowackiego do matki, tom II. Lwów 1877.

O średniowiecznych kronikarzach naszych, którzy pisali po łacinie, nie posiadała dotychczas literatura polska specyalnego, wyczerpującego dzieła. Wiadomości o tych kronikarzach łacińsko-polskich znajdujemy rozproszone w niektórych dziełach uczonych, a rzadko nawet w historyach literatury, poświęconych z małym wyjątkiem (np. Wiszniewskiego) wyłącznie utworom w języku polskim pisanym. Pracy zebrania, zestawienia, a po części i krytycznego rozpatrzenia wiadomości o średniowiecznych naszych kronikarz podjął się — wstyd nam wyznać — uczony niemiecki, profesor Zeissberg, jeden z gruntownych pomiędzy europejskiemi badaczami znawców historyi polskiej, który w ciągu kilkoletniego pobytu we Lwowie, gdzie był profesorem, obeznał się dokładnie z dziejami naszemi i z językiem polskim. Utwór swój prof. Zeissberg napisał jeszcze w 1871 r. na konkurs, zadany przez lipskie towarzystwo imienia ks. Jabłonowskiego i wyznaczoną nagrodę otrzymał, dopiero zaś teraz zawdzięczamy staraniom p. Pawińskiego przekład tego cennego dzieła.

Autor podaje nam wiadomości biograficzne o kronikarzach na tle właściwej epoki, nie zaniedbując ogólnych i szczególnych zarysów z dziejów kraju i jego cywilizacyi, co nadaje szczególną wartość jego dziełu, choć jako w pisanem dla cudzoziemców, znajdziemy tu wiele wiadomości podrzędniejszych, elementarnych i, jak dla nas, powszechnie znanych. Cennym objawem staranności i sumiennej, prawdziwie niemieckiej, skrzętności jest dodany w przypiskach wyczerpujący opis wszystkich rękopismów, zawierających wzmiankowane w dziele kroniki, z dokładnem wyszczególnieniem gdzie który z nich się znajduje; w tychże przypiskach znajduje się wymienioną cała prawie literatura przedmiotu w rozmaitych językach, aż do r. 1870, tak że i pod tym względem dzieło Zeissberga stanowi samo cenny materyał i źródło dla naszych badaczy, z których żaden podobnej pracy dotychczas nie dokonał.

Treść samych kronik, w części tylko, jak wspomnieliśmy, została przedstawioną krytycznie, nie mogło być inaczej, ze względu na rozmiary dzieła już i tak znaczne. Wszelako autor poruszył i usiłował przedstawić w świetle krytycznem, a w miarę możności i wyświetlić niektóre punkta sporne, dotyczące życia i dzieł kronikarzy. Tak np. dość gruntownie rozbiera kwestyą pochodzenia najdawniejszego kronikarza naszego — Marcina Galla i wykazuje, że dotychczas jeszcze nie masz pewności, czy ten pisarz istotnie był Gallem czyli Francuzem i czy w samej rzeczy nosił imię Marcina. Podobnież podaje w wątpliwość szlacheckie pochodzenie Wincentego Kadłubka, przyznawane mu za Długoszem, a co się tyczy samego jego nazwiska, zestawiwszy rozmaite zdania w tym przedmiocie, Zeissberg nie orzeka stanowczo, czy miano Kadłubek było przydomkiem od „kadłuba" czy też imieniem ojca Wincentego — Gotloba czyli Bogusława. Co się tyczy autorstwa Mateusza herbu Cholewa, któremu przypisywano część kroniki Kadłubka, Zeissberg takowemu zaprzecza.

W niedość wyjaśnionej kwestyi powodów zabójstwa św. Stanisława i roli politycznej tego biskupa w jego zatargach z Bolesławem Śmiałym, Zeissberg ostatecznie nie rozstrzyga licznych wątpliwości; zanadto jednak, jak się zdaje, naśladuje tych niemieckich historyków, którzy św. Jana Nepomucena, patrona Czech, uważają za wymysł księży. Zeissberg nie uważa wprawdzie św. Stanisława za istotę mityczną, ale zawsze jednak twierdzi że legenda o męczeństwie tego biskupa powstała dopiero w 150 lat po jego zgonie — za czasów Bolesława Wstydliwego i bezpośrednio przed kanonizacyą świętego, gdy duchowieństwo polskie uznało za potrzebne (jak w Czechach jezuici) dać krajowi patrona rodaka, zamiast dotychczasowych cudzoziemców (św. Wojciecha i Floryana.

Zasługuje także na uwagę ciekawy bardzo rozdział tomu pierwszego, poświęcony kronikarzom szląkim; część to średniowiecznego dziejopisarstwa polskiego najmniej u nas znana, nietylko szerszemu kołu czytelników, ale nawet i historykom. Z tego rozdziału można powziąść pewne wyobrażenie o pochodzie germanizacyi na Szlązku, począwszy od wieku XII i o ścieraniu się prądu krajowego z obcym, napływowym — niemieckim, w łonie ówczesnego duchowieństwa świeckiego i zakonnego. Tak np. dowiadujemy się że w wieku XIII i XIV zakonnicy szlązcy, pochodzenia niemieckiego, starali się wszelkiemi środkami pozbawić zakonników krajowych wpływu i znaczenia, a duchowni świeccy Niemcy szerzyli w szkołach i kościołach niemczyznę. Biskupi, synody kościelne i książęta (choć większa część Piastów sprzyjała germanizacyi) ujmowali się częstokroć za prawami upośledzonego języka krajowego. Zresztą autor, dotykając tych i podobnych kwestyi, zapomina o obowiązkowej dla historyka bezstronności i występuje jako żarliwy poplecznik germanizacyi.

Obszerna rzecz o Długoszu, zajmująca większą część tomu drugiego, jest niemal wyczerpującą i najlepszą monografią o tym historyku; szkoda tylko, że i tu autor, krytykując Długosza, zdradza za często swą narodowość niemiecką i dążenia spółczesnej nam bezwyznaniowości, które dziko wyglądają gdy stają się skalą do oceny pisarza z wieku XV i przytem duchownego.

Zakończenie dzieła stanowi obraz przedświtu złotego wieku. Autor rozbiera tu dzieła Kallimacha i Ostroroga i kończy oceną pamiętników Janczara, które uznaje za napisane początkowo po polsku.

Obok zalet, dzieło Zeissberga ma także i wady, z których dwie — sympatye germanizatorskie i bezwyznaniowe — wytknęliśmy już powyżej. Wiadomo, że dwie te olbrzymie wady — nabytek najnowszych czasów — stają się już pospolitemi u historyków niemieckich. Wiara w wyższość kultury niemieckiej i lekceważenie narodowości słowiańskiej doprowadzają czasem autora do sprzeczności ze sobą samym, do fałszowania faktów historycznych i do nieco śmiesznych w dziale historycznem wykrzykników patetycznych. Tak np. autor nie uznaje narodowości czeskiej i uważa Czechy za kraj niemiecki, w którym dopiero przy końcu wieków średnich, powstać miało, jak powiada „widmo czechizmu."

Rażące te wady zostały zachowane w przekładzie i nieopatrzono odnośnych miejsc nawet stosownemi przypiskami; tylko w przedmowie kilkoma słowy wspomina wydawca, że pozostawił w przekładzie wszystko tak, jak było w oryginale. Nakoniec jedną jeszcze wykazuje autor wadę, zapewne będącą w związku ze wzmiankowaną ogólną jego niechęcią do wszystkiego co słowiańskie, a mianowicie lekceważenie prac wielu historyków naszych, nawet tatakich jak Bielowski i Lelewel i niesprawiedliwe sądy o nich, zwłaszcza o tym ostatnim.

(*d. c. n.*)

OBRAZY
na Wystawie Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych
W WARSZAWIE.

Wielki rozmiarem obraz p. Grammatyka „Święty Wojciech uczący lud pieśni o Bogarodzicy" stawia nas w położeniu arcy-trudnem, bo treścią wymaga warunku niemożliwego do spełnienia; abyśmy *wzrokiem* ocenili fakt odnoszący się do *słuchu*. Jak-

że niestety sądzić możemy śpiew tych postaci licznych, kiedy mimo wszelkiej pomocy wyobraźni, przedstawiają nam się *martwymi*, a więc bez głosu, bez ruchu — i nietylko dźwięku pozbawione, lecz niestety i naturalnego wdzięku...

Widzimy też „Jadwigę oczekująca Jagiełły na zamku Krakowskim,“ jak nam to podpis obwieszcza, ozdobiony nazwiskiem pana Lessera. Ważna to i wysoce dramatyczna musiała być chwila w życiu młodziuchnej królowej, gdy złożywszy na ofiarę dla kraju uczucia swego serca, przyjmowała w imię obowiązku przeznaczonego jej małżonka, poświęcając swą istotę kobiecą obowiązkom władczyni ludu. Ostatnia struna miłości dla pięknego i miłego Wilhelma zrywała się pod naciskiem woli szlachetnej, nie rozmarzona też i spłoniona oblubienica, lecz ofiarnica wybrana i mężna, oczekiwała z milczącym spokojem, z podniosłą myślą, tego, co w zamian za jej poświęcenie, wypłacał się dobrem całemu krajowi. Jakimże te cudne rysy królowej tchnąć musiały wyrazem silnych uczuć, przebytą walką, nieporównaną rezygnacyą, ostatniem wreszcie drgnieniem lękliwości i żalu... Otoczenie Jadwigi, kilka zaufanych niewiast i dworzan, z jakimże uwielbieniem i wzruszeniem poglądać musieli na tę świętą panią, której głąb serca znali i podziwiali wielkość jej duszy. Wyobrażamy sobie ten cały cichy dramat owej chwili, lecz żałujemy mocno, że postacie malowane przez p. Lessera nie uwydatniają nam jej w całej pełni i wrażenie odniesione z pomysłu, cokolwiek milknie w obec wykonania.

Z królewskiej komnaty, gdybyśmy zstąpili między ludek ochoczy i poszli np. na:

„Targ na Szczepańskiem,“ p. Lipińskiego. O, tu prawdy, ruchu, życia, natury podpatrzonej i schwytanej w całej swobodzie rzeczywistości, znajdziem tyle, że zdaje nam się słyszyć cały gwar jarmarczny, że targujemy się razem z poczciwymi tatusiami o miarkę kartofli z żydem, że uśmiechamy się patrząc na zalotne przymówki kucharza do straganiarki, że mamy ochotę pokłonić się znajomym paniom, co nie wahały się przybyć po zakupy gospodarcze; i z sympatyą patrzymy na cały ten ludek ochoczy, rześki, skrzętny a wesoły. Grupy pojedynczo wzięte nie mniej przedstawiają interesu; np. trzech chłopaków spożywających śniadanie nie wybredzając że bez stołu i nakrycia, na co panienka wystrojona, trzymająca się boku mamy, może jakiej pani asesorowej, ba! nawet radczyni, patrzy tedy przymrużając oczki, lecz nasi Gawrosze, żarcikiem płacą za minkę, wcale nie tracąc na fantazyi i nie przejęci pokorą w obec kapeluszy, parasolików i wyższości stanu małej arystokratki. Charakterystyki trafnej, żywego pochwycenia prawdy, winszujemy młodemu artyście, a jeśli zrobiliśmy jaki zarzut jego nieposlednej wartości pracy, to tylko dotyczący się kolorytu, nieco za mdławego i jednostajnego.

SZARADA
Ludwika Niemojowskiego.

I.

Jak pragną deszczu *szóste* i *pierwsze*,
Tak wy dziewice wśród marzeń
Życia jutrzenki — w chęciach najszczersze,
Pragniecie wciąż nowych wrażeń.
Na pensyi jeszcze pomiędzy dziatwą,
Szukacie czułej przyjaźni,
A to uczucie przychodząc łatwo
Znika, gdy zawód je zdraźni.
Kiedy nastała chwila rozstania,
Gdy w nowe wstąpić trza życie,
Pięć pierwszych sylab mego zadania,
Do przyjaciołki mówicie;
Lecz gdy raj wspomnień szkolnych uleci,
W pełnym złud kole światowym,
To te *pięć sylab* niby szał dzieci,
Pustem okaże się słowem.
Bo kiedy młodość do życia nęci,
Gdy chęć się zmienia w uczynek,
Czyliż zostanie w waszej pamięci,
Lat zbiegłych marny wspominek?

Parę lat znowu *czwarte* i *pierwsze*
Wśród życia pory wiosennej,
A wy w uczuciach zawsze najszczersze,
Chcecie miłości niezmiennej;
I do młodzieńca wstępując w ślady
Tej złudy jasnej, uroczej,
Pięć pierwszych sylab mojej szarady
Mówicie patrząc mu w oczy.
Bywa że *wszystką* dajecie w darze
Jako stałości zadatek,
I łzą skroplone chylicie twarze,
Patrząc na drobny ów kwiatek.
O niech ta *wszystka* będzie ci luby,
Wołacie, na zawsze hasłem,
By nie zostały serc naszych śluby
Promieniem w cieniach zagasłym;
Lecz *wszystka* liście utraci modre,
Czas chwilę złudy rozwieje;
Oh! bo dziewice wyście zbyt szczodre
Kładąc we *wszystkiej* nadzieje!

Od Redakcyi.

Tygodnik Mód i Powieści jak i Przyjaciel Dzieci, w przyszłym kwartale 1878, wychodzić będą pod temi samemi co dotąd warunkami. Upraszamy o wczesne nadsyłanie należytości prenumeracyjnej *wprost do Redakcyi*, gdyż tylko tym jedynie sposobem dalsze przesyłanie pism bez zwłoki następować może.

Prenumerata wynosi:

NA TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

w Warszawie **Kwartalnie rs. 1 kop. 80.**

Na Prowincyi i w Cesarstwie z ekspedycyą i przesyłką pocztową:

Kwartalnie . . .	**rs. 2 kop. 50**
Półrocznie . . .	**rs. 5**
Rocznie	**rs. 10**

NA PRZYJACIELA DZIECI

w Warszawie **Kwartalnie — k. 75.**

Na Prowincyi i w Cesarstwie z ekspedycyą i przesyłką pocztową:

Kwartalnie	**rs. 1.**
Półrocznie	**rs. 2.**
Rocznie	**rs. 4.**

Nizką tę cenę pomimo zwiększenia kosztów wydawnictwa, utrzymujemy bez zmiany, aby prenumeratę pisma uznanego już w swej użyteczności, zrobić przystępną dla każdej rodziny.

Adres do **J. K. Gregorowicza, Redaktora Tygodnika Mód i Powieści i Przyjaciela Dzieci, w Warszawie** *ulica Elektoralna Nr. 779 (41 nowy).*

Zaś od d. 1 Lipca r. b. adresować należy: **ulica Chmielna Nr. 1530 (20 nowy).**

Nowe wydawnictwa.

Praktyczny kucharz Warszawski zawierający 1,500 różnych potraw oraz przepisy przyrządzania zapasów śpiżarnianych i pieczenia ciast, wyszedł z druku zeszyt 9 nakładem Jana Noskowskiego. Skład główny w księgarni B. Casiussa ulica Miodowa N. 14. Cena całego dzieła rs. 1.

Opis ryciny kolorowej.

Fig. 1. Ubranie letnie z batystu lila gładkiego i biało haftowanego w tamborku. Haft wstawiony środkiem pleców, powtarza się z przodu nakształt plastronu sięgającego do fartuszkowej draperyi, spadającej z tyłu w dwóch trójkątach przewiązanych z sobą. Niciane ręcznie robione koronki, wszywki i plisowanie batystowe stanowią przybranie sukni. Kapelusz z florenckiej słomki zdobny wstążką białą i wianeczkiem z ciemnych kwiatków mieszanych z trawkami; rondko wywinięte z boku, podszyte czarnym aksamitem i podpięte bukiecikiem.

Fig. 2. Drugie ubranie letnie stanowi suknia z czarnej grenadyny, przybrana koronką, plisowaniem i kokardami z wstążki dubeltowej (serge i faille). Stanik ma z przodu tylko długą baskinę, plecy zaś krajane są w jednym ciągu z draperyą upiętą z tyłu na sukni. Kapelusz czarny słomkowy naszyty złotemi gwiazdeczkami i objęty żółtym atlasem. Parasolik z żółtą wypustką.

Przyjaciela Dzieci Nr. 24 wyszedł z druku i zawiera:

Wiejska nauczycielka. — Piosnka (wiersz). — Pogadanka z Ojcem (z drzeworytem). — Skały naniesione (z drzeworytem). w Dodatku: Frank Osbaldyston.

Prenumerata wynosi kwartalnie:

w Warszawie kop. 75 — z przesyłką pocztową rs. 1.

Adres: *Do* ***J. K. Gregorowicza.*** *Ulica Elektoralna Nr. 779 (nowy 41).*

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się rycina kolorowa.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ. Варшава, 1 (13) Іюня 1878 г. Redaktor **J. K. Gregorowicz.** Wydawca **E. Skiwski.** Druk E. Skiwskiego, Elektoralna N. 758 (28).

Dodatek.